Twoje hasło jest chronione.
**Twoje życie nie!**

# Śmiertelna gra

MICHAEL
MARSHALL

„Genialne... trzymające w napięciu jak cholera" – tak ocenił **Stephen King** „Niewidzialnych" Michaela Marshalla. „Śmiertelna gra" z pewnością też zasługuje na taką opinię!

# Prolog

Tkwi w korytarzu i trwa to już blisko godzinę. Wielu na jego miejscu uznałoby to za ostateczną zniewagę, za przepełniającą kroplę, za kres, poza którym w głowie rozbłyskują szkarłatne błyskawice złości i zmuszają do powrotu do źródeł zakrzepłej furii, od których wszystko się zaczęło. Ale na Johna Huntera to tak nie działa i nie tylko dlatego, że zawsze miał w sobie pokłady spokoju, ani nawet nie dlatego, że ten czas jest już tylko końcówką dużo dłuższego okresu wyczekiwania. Po prostu z biegiem lat doszedł do wniosku, że całe doświadczenie sprowadza się z grubsza do tego samego. I dlatego cierpliwie czeka.

Korytarz ma kremowobury kolor, co zapewne ma wpływać uspokajająco. Zapamięta to miejsce z tego koloru, a także woni rdzy i mieszaniny tysięcy kropli męskiego potu. Powiedziano mu, że może usiąść. Odmówił grzecznie, ale nie nazbyt uniżenie. Zrobił to tonem spokojnym i wyważonym, który miał czas dobrze opanować. Czekanie na stojąco czy na siedząco sprowadza się do tego samego, więc stoi.

W głowie ma zupełną pustkę.

▫ ▫ ▫

W końcu drzwi się otwierają i na korytarz wychodzi pulchny mężczyzna w pomiętym niebieskim ubraniu.

— Przepraszam, John, że musiałeś czekać — mówi. Wygląda na zaaferowanego, ale panującego nad sytuacją.

Na półkach w jego gabinecie stoją rzędy segregatorów z aktami i książki z dziedziny kryminologii i teorii prawa karnego. Z okna roztacza się widok na główny dziedziniec więzienny. Mężczyzna, którego nazwisko widnieje na drzwiach, zajmuje ten gabinet od siedmiu lat. W tym czasie — jak mówią — wprowadził w podległym mu zakładzie karnym wiele istotnych zmian na lepsze i wydał cztery wysoko oceniane prace, w których przedstawił szczegółową analizę jakościową i ilościową wprowadzonych zmian. Stracił także znaczną część czupryny, spod której wyłoniła się usiana plamami łysina.

— Drobne problemy na oddziale D — mruczy, siadając za ogromnym drewnianym biurkiem. — Zażegnane lub przynajmniej odwleczone do czasu kolejnej wizyty bóstw chaosu, która niewątpliwie nastąpi. Proszę, siadaj.

Hunter siada na jednym z dwóch dużych wyściełanych krzeseł, które stoją pod kątem do biurka naczelnika. Bywał już wcześniej w tym gabinecie. Na biurku jak zwykle leży laptop, blok do notatek z wydartą częścią kartek, dwa długopisy, telefon komórkowy w skórzanym etui z zaczepem na pasek i fotografia kobiety z trójką dzieci tak z wyglądu nijakich, że naczelnik mógł równie dobrze kupić to zdjęcie w sklepie z akcesoriami biurowymi jako rekwizyt niezbędny do ukazania gospodarza we właściwym świetle. Być może naczelnik jest osobą żałośnie samotną i spędza noce w barach dla singli. Jest jednak równie prawdopodobne, że jest dokładnie tym, za kogo chce uchodzić. Czasem się tak zdarza.

Splata ręce na brzuchu i obrzuca pogodnym spojrzeniem

więźnia siedzącego sztywno na krześle przed jego biurkiem.

— To jak, cieszysz się?

— Bardzo, panie naczelniku.

— Nie dziwię się. Dość długo się wyczekałeś.

Więzień kiwa głową. Osobiście jest zdania, że tylko ktoś, kto odsiedział szesnaście lat w celi, może mieć pojęcie, co to znaczy długo, ale wie, że to nie jest dobry temat do rozmowy. Przygotowując się do trzech kolejnych, zakończonych niepowodzeniem przesłuchań w sprawie przedterminowego zwolnienia, nauczył się, co to są dobre tematy do rozmowy.

— Masz jakieś pytania? Coś cię konkretnie niepokoi?

— Nie, panie naczelniku. Nic mi nie przychodzi do głowy. Sesje z doradcami były bardzo przydatne.

— Cieszę się. No dobra, wiem, że tak, ale muszę o to spytać. Czy rozumiesz warunki swojego zwolnienia i ułaskawienia i będziesz ich przestrzegać, bla, bla, bla...?

— Tak jest, panie naczelniku.

— Bo nie chcemy cię tu znów oglądać, prawda?

— Z całym szacunkiem, panie naczelniku, jestem tego samego zdania.

Naczelnik parska śmiechem. W jakimś sensie żal mu się żegnać z tym więźniem. Nie jest jedynym, który nie sprawia kłopotu w gronie zdominowanym przez niepoprawnych recydywistów i psychopatów, ale należy do więźniów inteligentnych, rozsądnych i — co najważniejsze — podatnych na nauki zawarte w programie resocjalizacji, który naczelnik wdraża od początku pracy w tym zakładzie. To właśnie dlatego siedzi teraz w jego gabinecie, zamiast, jak garstka innych dzisiejszych szczęśliwców, być bezceremonialnie wypchniętym za bramę więzienia. Hunter okazał skruchę za popełnioną zbrodnię — zamordowanie dwudziestoośmioletniej kobiety —

i zademonstrował pełne zrozumienie okoliczności, które go doprowadziły do popełnienia tego czynu, a także warunków uniknięcia podobnych zachowań w przyszłości. Wyraził żal i udowodnił, że w pełni rozumie, za co przeprasza. Dziewięć lat to szmat czasu jak na skrócenie wyroku, zwłaszcza za morderstwo, i naczelnik jest z tego dumny w imieniu swojego więźnia.

Więzień siedzi przed jego biurkiem cichy, pokorny i nieruchomy jak skała.

— Chciałbyś coś jeszcze powiedzieć?

— Nie, panie naczelniku. Może tylko wyrazić wdzięczność.

Naczelnik wstaje, więzień — który już za chwilę będzie byłym więźniem — robi to samo.

— Przyjemność po mojej stronie. Chciałbym, żeby wszyscy tu mogli liczyć na takie zakończenie.

— Może wszystkich spotyka to, panie naczelniku, na co sobie zasłużyli.

Naczelnik wie, że to się nawet nie ociera o prawdę, ale wyciąga rękę i obaj mężczyźni ściskają sobie dłonie. Dłoń naczelnika jest ciepła i wilgotna, więźnia zaś sucha i chłodna.

▫ ▫ ▫

Prowadzą go ciągiem korytarzy. Niektóre z nich są ścieżkami, które przez niemal dwadzieścia lat określały jego wszechświat, pozwalając dojść do stołówki, do warsztatu i na spacerniak, a które teraz rozbrzmiewają waleniem w kraty i wrzaskami siedzących za nimi mężczyzn — włamywaczy i zabójców, gwałcicieli i pedofilów, złodziei samochodów i bandziorów od osiemnastu do siedemdziesięciu jeden lat. Ich nazwiska i opisy demoralizacji zaczynał już z prawdziwą ulgą zapominać. Kilku mijanych nawołuje go po imieniu, ale on ich ignoruje. Są już

tylko upiorami w głębi jaskiń. Już nie mogą mu nic zrobić.

Dalsze korytarze przechodzą w ścieżki wyprowadzające go na drugą stronę stalowych krat i niezliczonych zamków, ku wolności. To poczucie nabiera mocy i nawet jemu zaczyna być trudno udawać spokój i zobojętnienie — stan ducha, którego z takim trudem uczył się latami. Przejście tymi korytarzami daje się porównać z nagłym odnalezieniem wyjścia z niekończącego się labiryntu, w którym przyszło mu spędzić jedną trzecią życia. Z poczuciem, że oto wreszcie udaje mu się wyrwać z szaleństwa, które zawładnęło każdym zakątkiem jego umysłu. Każdym z wyjątkiem maleńkiego centralnego jądra, w którym schroniła się jego dusza na czas wystarczający do odbycia czterech kolejnych olimpiad.

W biurze osadzeń i zwolnień Hunter podpisuje papiery pod czujnym okiem wychowawców, którzy traktują go już odrobinę inaczej, ale nie zanadto. Dla nich, jak i dla całego świata, za murami ten czas tak naprawdę nigdy się nie skończy. Jak człowiek raz stanie się kryminalistą, to już nigdy nie przestanie. Zwłaszcza jeśli został skazany za morderstwo. Popełnienie morderstwa oznacza, że jest się kimś odmiennym od całej reszty, w każdym razie wszyscy dla spokoju chcemy w to wierzyć.

Oddają mu płaską, owiniętą w plastik paczuszkę z jego dobytkiem. Zegarek, portfel z zawartością siedemdziesięciu dolarów z drobnymi, kilka drobiazgów z poprzedniego życia. Prowadzą go do pomieszczenia w formie stalowej klatki, gdzie na oczach strażników i paru zwalnianych więźniów przebiera się w cywilne ciuchy — te same, w których trafił do więzienia. Przywykł do tego, że wszystko musi robić na oczach innych, ale marzy o chwili, kiedy to się skończy. Ubranie wciąż na niego pasuje. Dżinsy, czarny T-shirt z długimi rękawami,

wytarta dżinsowa kurtka. Absolutnie ponadczasowy ubiór.

Strażnik sprowadza go schodami na dziedziniec przylegający do spacerniaka, gdzie spędzał należne mu cztery godziny tygodniowo na wolnym powietrzu. Przechodzą przez dziedziniec i dochodzą do bramy.

Brama zostaje otwarta, a on przez nią wychodzi.

Do świata.

▫ ▫ ▫

Czterdzieści metrów dalej czeka na niego taksówka. Inni zwalniani dziś więźniowie odjadą mikrobusem, ale on jako jedyny chciał, żeby nowe życie zaczęło się tuż za bramą. Podchodzi do taksówki i siada z tyłu, nie oglądając się za siebie.

— Dokąd? — pyta kierowca.

Hunter podaje nazwę pobliskiego miasta, rozpiera się na siedzeniu i wlepia wzrok w przednią szybę. Kierowca uruchamia silnik i rusza z miejsca. Nie wygląda na to, żeby mu się chciało gadać z pasażerem, nie włącza też radia. Hunter za jedno i drugie jest wdzięczny — choć nie dlatego, że się musi zastanawiać nad tym, co ma dalej robić i jak spędzić pierwszy dzień wolności. Ma to wszystko przemyślane i teraz to tylko realizuje. Wie, jak ważne jest to, by jego troski i aspiracje posuwały go do przodu i by dzień wczorajszy zostawić za sobą. Przeszłość to przeszłość i w tej sprawie nie da się nic zrobić. Jedyne, co przeszłość może zrobić z teraźniejszością, to pociągnąć ją wstecz.

Niemal wszystko, co się działo za murami ginącymi z wolna we wstecznym lusterku, nim zostanie: fizyczne znęcanie, noce dławiącego koszmaru, dwie próby samobójcze podjęte w pierwszym miesiącu, późniejsza decyzja, z kim się sprzymierzyć i jak bardzo lub jak mało się włączać w więzienne układy tak,

by ani nie cierpieć za innych, ani nie podpaść któremuś z więziennych gangów, co równałoby się wyrokowi śmierci wydanemu przez wszechwładną więzienną sprawiedliwość. To wszystko było wtedy i tam.

Teraz jest tu i teraz.

Jedyne, co stamtąd zabrał, to świadomość, która pomagała mu przetrwać, ale też dodatkowo zaciemniała jego najczarniejsze noce i godziny. Świadomość, że nie popełnił zbrodni, za którą go skazano. Dziewięćdziesiąt procent więźniów tak twierdzi i przeważająca większość kłamie.

Ale nie on.

On naprawdę tego nie zrobił.

▫ ▫ ▫

Zostało mu jeszcze kilka drobiazgów do ustalenia — co najpierw zjeść, gdzie zdobyć jakieś ciuchy niecuchnące więzieniem, gdzie spędzić pierwszą noc. Ale najważniejszą sprawę ma dobrze przemyślaną.

Jak szybko zdobyć broń.

I potem zacząć z niej korzystać.

# Rozdział pierwszy

Okrążyłem małe wewnętrzne rondo w kompleksie Grzywacze i dostrzegłem, że samochód Karren White już zajmuje lepsze z dwóch miejsc parkingowych Shore Realty — to, które po południu jest w cieniu i pozwala po całym dniu pracy wsiąść do samochodu bez uczucia, że człowiek pakuje się do ustawionego na SPIECZ piekarnika. Zaparkowała z typową dla siebie precyzją, tak że boki jej małego sportowego bmw znalazły się idealnie równolegle do linii — zupełnie, jakby najpierw zajęła miejsce, a dopiero potem poprosiła naszego konserwatora Dużego Waltera, żeby namalował linie wzdłuż jej samochodu (czego, znając jej urok i siłę perswazji, nie można było wykluczyć). Ustawiłem samochód na sąsiednim miejscu z taką samą precyzją i zerknąłem na zegar na desce rozdzielczej. Ósma dwanaście.

Hm.

Wpisałem godzinę do notesu w moim iPhonie. Spieszę wyjaśnić, że nie jestem świrem na punkcie elektronicznych gadżetów i wpisuję takie dane tylko po to, aby wyrabiać w sobie pożyteczne nawyki. Powtarzalną regularność zachowań,

która może się przydać do znacznie ważniejszych celów. Chodziło także o to, że w trzeci poniedziałek z kolei Karren była w biurze przede mną i zapewne uważała, że to czegoś dowodzi i na dłuższą metę daje jej konkurencyjną przewagę nade mną. Nie mogła oczywiście wiedzieć, że po drodze zaliczyłem robocze śniadanie na St. Armands Circle — kawa, francuski tost i dwudziestopięciominutowa pogawędka z kimś, kto może mi przysporzyć kupę forsy. Nie wiedziała też, że po drodze z domu odsłuchałem weekendowe podcasty z branży budowlanej i deweloperskiej (pobrane z sieci na iPhone i odtworzone na samochodowym systemie audio), wysłałem pięć e-maili (obmyślonych przed wyjazdem z domu, napisanych i wysłanych podczas postoju pod światłami) i zaktualizowałem moje wpisy na LinkedIn, Facebooku i HollaBacku. Ranny ptaszek łatwiej znajduje robaka, to prawda, ale Bill Moore nie ma nic przeciwko dziobaniu w drugiej kolejności, jeśli dzięki temu jego dżdżownica okaże się większa i soczystsza.

Tak że, droga panno White, zajmuj sobie lepsze miejsce parkingowe, póki możesz. Jeszcze się okaże, kto ostatecznie lepiej na tym wyjdzie.

Przygotowałem się psychicznie na opuszczenie cudownie chłodnego wnętrza mojego lexusa, mimo to uderzenie gorąca było tak gwałtowne, jak zaloty starzejącego się bankiera do kelnerki na bankiecie. Po sześciu latach pobytu na Florydzie nadal nie przywykłem do tutejszego wilgotnego żaru, który dopada i przytłacza swym ciężarem, zanim człowiek zdąży zwlec się z łóżka. Zamknąłem samochód i rozejrzałem się po niebie nad przysadzistymi piętrowymi pawilonami, z przyjemnością odnotowując zbierające się od strony lądu chmury. Prędzej czy później — może nawet już dziś po południu, co daj Boże — rozpęta się burza i temperatura stanie

się znośniejsza, przynajmniej przez dzień lub dwa.

Ruszyłem w stronę pawilonu mieszczącego agencję nieruchomości Shore Realty, odnotowując z satysfakcją, że zdjęcie niedawno zgłoszonego segmentu z dwiema sypialniami trafiło wreszcie na szybę wystawową. Wisiało trochę krzywo i wszedłszy do chłodnego wnętrza budynku, najpierw je poprawiłem i dopiero wtedy ruszyłem do biura.

— Dzień dobry — powiedziałem ciut głośniej niż trzeba, ale z lekkim zaaferowaniem w głosie, żeby było jasne, że mój dzień pracy trwa już od dawna.

Głos odbił się od ściany i powrócił, nie mając mi wiele do przekazania. Siedziba Shore Realty w kompleksie Grzywacze nie jest ani szczególnie duża, ani szczególnie skromna i stanowi najmniejszy oddział sieci, której główna siedziba mieści się w Ocean View Mall w połowie Florida Keys, a pozostałe oddziały znajdują się w Sarasocie, Bradenton i Tampie. Większość pracy w naszym oddziale sprowadza się do pośredniczenia w handlu segmentami w samych Grzywaczach, choć właśnie pracuję nad tym, aby to zmienić.

Nasze biuro jest prostokątem mającym jakieś siedem i pół na pięć i pół metra (nigdy dokładnie go nie mierzyłem), na którym mieszczą się trzy biurka: moje, Karren, która właśnie przy nim siedzi i tłucze w klawiaturę, i Janine, naszej asystentki, której praca polega na umawianiu spotkań, niepojmowaniu podstawowych funkcji komputera i wieszaniu na szybie wystawowej zdjęć oferowanych nieruchomości, zawsze nieco krzywo. Po Janine nie było śladu, co jest normalne o tej porze dnia (o wszystkich innych zresztą też).

— Dzieńdoberek, Billy-boy.

Karren miała na sobie swój codzienny mundurek złożony z eleganckiej białej bluzki i obcisłej granatowej spódniczki

sięgającej nieco nad kolana i eksponującej jej wytrenowane na korcie łydki. Kiedyś była autentycznym talentem tenisowym i rozważała nawet przejście na zawodowstwo. Widziałem, jak gra (pozwalają nam bezpłatnie korzystać z terenów rekreacyjnych w kompleksie), i mogę potwierdzić, że w wieku dwudziestu dziewięciu lat wciąż utrzymuje świetną formę. Ale nieważne. Gdy obowiązki służbowe tego wymagają lub gdy moją żonę najdzie chęć pobiegania po korcie, potrafię zagrać na tyle dobrze, żeby się nie kompromitować. Wygrywanie w walce sportowej to nie to samo, co wygrywanie w biznesie, tak jak *Sztuka wojny* nie jest podręcznikiem korporacyjnym. Spróbujcie mnie zmusić do przestrzegania tych wyliniałych zasad z lat osiemdziesiątych, a wdepcę was w ziemię.

— A Janine tym razem jest...?

— U lekarza. Dziecko zachorowało.

— Znowu?

Karren teatralnym gestem wzrusza ramionami, powodując, że jej długie ciemne włosy muskają barki. Właściwie jedyną sprawą, w której w pełni się zgadzamy, jest to, że Janine jest praktycznie do niczego, a jej dziecko jest jakieś wybrakowane.

— Powiedziała, że będzie o pierwszej, i niech umrze z głodu, jeśli nie.

— O pierwszej już mnie tu nie będzie. Mam spotkanie na Siesta Key.

Karren powróciła do tłuczenia w klawiaturę, nie łykając przynęty. Punkt dla niej, choć może po prostu nie słuchała.

Dotarłem do swojego biurka i wtedy dostrzegłem, że coś na nim leży. Nie było to trudne, bo na moim biurku panuje największy porządek w całym rejonie Sarasoty. Może nawet na całym zachodnim wybrzeżu Florydy, choć dotarły do mnie pogłoski, że w Saint Petersburgu jest podobno koleś, na

którego biurku w ogóle nic nie leży. Na samym środku znajdowała się prostokątna kartka nieco większa od wizytówki i mniejsza od widokówki.

Wziąłem ją do ręki i zajrzałem na drugą stronę. Widniało na niej tylko jedno słowo:

**MODYFIKOWANY**

— Co to, u diabła, jest?

— Co?

— To coś na moim biurku.

— Nie mam pojęcia. — Karren nawet nie uniosła głowy. — Przyszło pocztą. Pewnie jakaś gówniana wirusowa reklama.

— Wirusowa reklama?

— No wiesz. Niewykrywalna przez radar. Trzyma się blisko ziemi i nie daje namierzyć. Pewnie coś bajeranckiego i szpanerskiego i niezbędnego, i tak nowoczesnego, że robi się niedobrze.

Przyjrzałem się kartce. Z obu stron była matowoczarna, po jednej stronie widniało to słowo napisane dużymi białymi literami, po drugiej była nalepka z wydrukowanym laserowo moim nazwiskiem i adresem firmy. Nalepka była przyklejona idealnie prosto.

— To nie do mnie — powiedziałem i wyrzuciłem kartkę do kosza.

# Rozdział drugi

Przekopałem się przez gąszcz e-maili, wykonałem parę telefonów — tylko w sprawach służbowych, bo do wszelkich innych używam komórki poza zasięgiem ciekawskich uszu — i wyszedłem z biura trochę po jedenastej. Na niebie kłębiły się burzowe chmury, niosąc z sobą obietnicę zdrowej ulewy. Jedyną wadą było to, że powietrze przed burzą zrobiło się jeszcze cięższe, a ziemia wydzielała ze swych rozpalonych płuc każdą zbędną kroplę wilgoci, by zrobić miejsce na nową porcję wody. Miało się wrażenie, że gdyby wyciągnąć ręce i zacisnąć dłonie, z powietrza pociekłyby krople wody, zamieniając się z sykiem w parę w zetknięciu z rozpaloną ziemią.

Zawahałem się, wiedząc, że w tych okolicznościach jeszcze niedawno sięgnąłbym po papierosa. Już tego nie robiłem, a dzisiejsza pogoda powodowała, że stawało się to mniej uciążliwe. Wreszcie zaczynałem nad tym panować. Czułem, że pan Nałóg Nikotynowy może się już na dobre zacząć pakować. Zatrzymałem się na chwilę, by złożyć sobie hołd. Oto mój ulubiony autor blogów poświęconych pracy nad sobą

przeznacza czas na odnotowanie dobrych chwil, zamiast nurzać się w złych. Przeprogramowuje rzeczywistość, skupiając uwagę na pozytywach. Kontroluj siebie, a będziesz kontrolował cały świat. A poza tym i tak byłem trochę przed czasem.

Z miejsca, w którym stałem, można dobrze ocenić, czym naprawdę są Grzywacze. Kompleks mieszkaniowy zbudowany w pięknych czasach, gdy stawianie bloków mieszkalnych na wybrzeżach Florydy praktycznie dawało licencję na maszynę do drukowania pieniędzy. Było tu wszystko, czego rodzinie potrzeba, do spędzenia dwóch beztroskich tygodni w Słonecznym Stanie. Sto dwadzieścia mieszkań po sześć w piętrowych budynkach ułożonych w dwóch koncentrycznych kręgach wokół centralnego placu z ośmioma kortami tenisowymi. (Grzywacze są dumne ze swoich kortów i organizują na nich doroczny turniej tenisowy pod nazwą Turniej Longboat Key). Rosnące wszędzie palmy, kępy paproci i ścieżki wyłożone drewnem nadają osiedlu bardziej intymny charakter. Każdy budynek ma własną pogodną nazwę i jest pomalowany na inny pastelowy odcień, choć dla wprawnego oka widoczne już są pewne oznaki zmęczenia materiału.

W wewnętrznym kręgu od strony oceanu wznosi się trzypiętrowy budynek administracji, w którym mieszczą się biura, główna recepcja, sale konferencyjne i siłownia. Dwa górne piętra zajmuje olbrzymia część mieszkalna należąca do właścicieli kompleksu. Identyczny budynek wznosi się też w zewnętrznym kręgu, i to w nim poza agencją nieruchomości Shore Realty mieści się niewielki market spożywczy, sklep z artykułami plażowymi i restauracja U Marie (nieduża, elegancka, pianista przez większość wieczorów, goście spoza kompleksu mile widziani, ale szorty i klapki plażowe nie) oraz Tony's Bistro na posiłek w luźniejszej atmosferze (dzieci mile

widziane, bar koktajlowy *tiki*, stoliki na patio od strony basenu).

Dalej ciągnie się już plaża z kilkoma bungalowami z czterema sypialniami każdy, stanowiącymi szczyt tutejszej drabiny cenowej. W kilku budynkach na terenie kompleksu znajdują się pomieszczenia rekreacyjne ze stołami do gier, a także sala zabaw, gdzie grzeczniejsze dzieci można zostawiać na dwugodzinne sesje pod częściowo wykwalifikowaną opieką, by w tym czasie nacieszyć się słońcem. Jest też warsztat będący domeną Dużego Waltera, ale jak dotąd nie miałem okazji skorzystać z jego usług. To prawdziwa złota rączka. Jest sympatyczny, potężnie zbudowany i wciąż chodzi spocony.

Moje zadanie polega na wynajdywaniu mieszkań, których właściciele postanawiają się pozbyć, i możliwie jak najszybszym znajdowaniu nowych nabywców. Na swój sposób to wręcz wymarzony układ. To jakby monopol umiejscowiony tuż za ścianą i głównie z tej przyczyny postanowiłem pracować tu, a nie w miejskim oddziale firmy w Sarasocie. Chodzi o to, że handel nieruchomościami staje się z roku na rok coraz trudniejszy. Tony i Marie Thompsonowie zarządzają Grzywaczami żelazną ręką, skrupulatnie pilnują kasy i hołdują zwyczajom, które zdradzają swój wiek równie wyraźnie jak same budynki. Z wyjątkiem trzech mieszkań w całym kompleksie właściciele mają w nich tylko niewielkie udziały, co stanowi tu powszechną praktykę. Właścicielom zabroniono wykańczać mieszkania według ich gustu, tłumacząc to tym, że jeśli będą się one różniły, wynajmujący je goście zaczną w nich przebierać i mieć swoich faworytów, a to uniemożliwi zarządzanie całością pod kątem maksymalizacji zysków. Generalnie nie ma w tym systemie nic złego, tyle że w rezultacie od paru lat nikt nie troszczy się o budynki i zaczyna to być widoczne zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. W

zasadzie wszystko tu działa, jeśli nie liczyć sporadycznych przypadków zbyt głośnej pracy klimatyzatorów czy zatkanych toalet, i tylko całość nie bardzo pasuje do zachwytów Karren, która lubi je zachwalać jako „superduper w idealnym stanie”.

To z kolei oznaczało, że mieszkania nie osiągały cen, jakich można było oczekiwać po lokalizacji na Key, ja zaś nie zarabiałem takiej prowizji, na jaką zasługiwały moja wytężona praca i szczere zaangażowanie w wyszukiwanie klientów. Nie błyszczałem też w swojej społeczności w stopniu wystarczającym do zrealizowania mojego planu pięcioletniego (właśnie wszedł w szósty rok istnienia, co mnie strasznie gryzło), który miał mi umożliwić wypięcie się na Shore Realty i otwarcie własnej firmy z biurem — w miarę możności — na St. Armands Circle, gdzie już od dawna miałem upatrzone miejsca. I właśnie dlatego zdecydowałem się na to, co mnie teraz czekało: spotkanie z Tonym Thompsonem i namówienie go, żeby wyasygnował trochę kasy na odnowienie całego kompleksu.

Podszedłem do samochodu, otworzyłem bagażnik i wyjąłem torbę na zakupy. Potem poruszałem ramionami, wymamrotałem kilka motywacyjnych formułek i ruszyłem w stronę recepcji.

▫ ▫ ▫

— To nie lada rarytas, Bill.

Stałem, sącząc mrożoną herbatę i wyglądając przez ogromną szybę okienną na ocean, podczas gdy Tony Thompson z podziwem wpatrywał się w etykietę na butelce wina.

— Słyszałem, jak pan kiedyś o nim wspominał — odparłem. — Natknąłem się na źródło zakupu i skorzystałem z okazji.

— Masz dobrą pamięć.

— Nazwa utkwiła mi w głowie, nic więcej.